

Aleksander Böhm

prof. dr hab. inż. arch.

Podhalańska Państwowa Uczelnia Zawodowa w Nowym Targu, Instytut Nauk Technicznych

ORCID: 0000-0001-5442-7489

Dawno temu na Politechnice

Once upon a time in Polytechnic

W 1961 roku spotkaliśmy się na sali rysunkowej. Wojtek przyszedł na studia z ksywą „Bazyli”, był chwilowo ostrzyżony na jeża i podobnie jak ja – absolwent męskiego wyłączenie gimnazjum – rozglądał się za pięknem w architekturze. Później zainteresował się też geometrią wykreślną, w czym istotną rolę odegrało to, iż przedmiot ten prowadził wówczas profesor Szerszeń, niegdysiejszy asystent profesora Bartla – a więc sami Lwowiacy. Rodzice Wojtka często wspominali przedwojenne czasy i Wojtek, choć zaledwie zdążył urodzić się we Lwowie, zawsze o tym pamiętał.



Il. 1a. Wojtek z autorem w czasie studiów; 1b. Wojtek w czasie górskiej wędrowki, fot. z archiwum rodziny Kosińskich

Po wstępnym oszołomieniu atmosferą studiów, nowymi znajomościami oraz tym, że wreszcie bez kłopotów wpuszczali nas do „Jaszczurów”, nadeszła pierwsza sesja egzaminacyjna. Studia nas wciągały i małymi kroczkami zbliżaliśmy się do projektowania. Buszowaliśmy po czytelnich, porównywaliśmy korekty, podpatrywaliśmy starszych kolegów i tłumnie przychodziliśmy na obrony ich prac dyplomowych. Te najpoważniejsze dla nas wydarzenia w życiu Wydziału raz tylko zakłócił zaskroniec, śpiący na zielonym suknie przed Wysoką Komisją, która brała go za plastikową imitację – dopóki się nie obudził.

Były to czasy, kiedy dziedziniec Politechniki pokrywał walcowany żużel, na którym gdzieś parkowały skody, wartburgi, warszawa profesora Zina i dekawka Wojtka Hyły. Na środku – tam gdzie dziś stoi Kościuszko – był zbiornik przeciwpożarowy, a czwarte piętro Wydziału Architektury dopiero co zostało nadbudowane i pachniało świeżym tynkiem. Wchodziło się przez potężne koszarowe wrota, skrzypiące schody i drewniane podłogi, czarne od oleju, który miał je konserwować, w niektórych salach stały jeszcze piece kaflowe. Grafony ostrzyliśmy na rogu Szlaku i Warszawskiej. Później pojawiły się grafosy, a jeszcze później rapidografy, których też już dziś nikt nie pamięta – podobnie jak żyłek służących i do golenia, i do wycinania źle narysowanych kresek na bristolu. Podczas każdej wycieczki w Tatry zaopatrywaliśmy się po słowackiej stronie w ołówki Koh-i-noora, gumy chlebowe, werniksy i *pastelové kriedy*. Znakiem rozpoznawczym studenta architektury była wtedy tuba.



Il. 2. Koledzy ze studiów na poligonie nad Goptem, stoją (od lewej): Rafał Molin, Tadeusz Dziedzic, Jacek Jagoda, N.N., Jerzy Grzymek, N.N., N.N., Andrzej Kłosak, Janusz Longawa, Wojtek (klęczący), siedzą (od lewej): Stanisław Drabczyński, N.N., Jacek Orłowski, 1963 rok, fot.: autor

Wojtka wszędzie było pełno i wszędzie było go słychać. Był czytany i osłuchany, więc miał o czym opowiadać i lubił to robić. Niezwyczajne emocje wywoływały konkursy, przy których czasem, w drodze wyróżnienia, pracowaliśmy po nocach jako pomocnicy w zespołach naszych profesorów. Była to okazja do nawiązania z nimi bliższego kontaktu. Podobnie było w czasie praktyk. Ich organizacja zapewne przerażałaby dzisiejszą administrację uczelni z powodu braku preliminarza kosztów, umów przedwstępnych, harmonogramu, zapotrzebowania na materiały i zgody na wykorzystanie środków transportu. O RODO też nikomu się wtedy nie śniło.

Profesor Ciołek na przykład umawiał się z nami przed budynkiem, po czym wychodził na ulicę Warszawską i łapał ciężarówkę jadące w interesującym nas kierunku, a jak złapał, ładował się do szoferki – a my na pakę. Jeździliśmy okazjami, spaliliśmy po chałupach albo na sianie, jadaliliśmy i pijaliśmy to, co udało się kupić w wiejskich GS-ach albo u litościwych gospodarzy. Tylko jeden z kolegów żył jak król, dzięki obietnicy ożenku z córką gospodarza, ale to nie był Wojtek. Natomiast poligony wojskowe to była zupełnie inna bajka, tam wszystkie sorty mundurów były ponumerowane, opieczetowane i wydawane za pokwitowaniem, chyba że ktoś miał numer stopy 46, to wtedy miał pozwolenie na służbę we własnych sandałach. Mimo ofiarności dowódców – zwłaszcza majora Kukawki – nie byliśmy w stanie zorientować się, o co w tym wszystkim chodzi – poza tym, że jesteśmy w kompanii saperów, a z tym nie było żartów.

Gdy przyszedł czas wyboru promotorów, Wojtek zafascynowany osobowością profesora Gruszczyńskiego i jego ekipy poszedł do „Gruchy” i zaraz po obronie został jego asystentem. To był dla Wojtka trudny czas – zmarł mu ojciec.



Il. 3. Profesor Gruszczyński ze swoim dyplomantem Wojtkiem już po dyplomie w roku 1967, fot. z archiwum rodziny Kosińskich

Ze studentów stawaliśmy się kadram. Ale nie zmieniło to naszych nawyków. Dalej chodziliśmy po górach, jeździliśmy na nartach i łowiliśmy pstrągi. Wojtek był niezrównanym kompanem tych przyjemności. Czasy były siermiężne, narty też, sypialiśmy w ciężkich unrowskich namiotach bez podłogi, za to z drewnianymi masztami, do prymitywnych wiązań narciarskich wprowadzaliśmy własne patenty, jedliśmy byczki w „tomacie” i marzyliśmy o wielkim świecie. Wreszcie udało się – Wojtek dostał paszport i wyrwał się do Norwegii, a ja do Kanady. Kupiliśmy sobie po fiacie 850 i wróciliśmy do Krakowa – również do wspólnych projektów.

Ważnym miejscem spotkań była też filharmonia – obydwaj lubiliśmy muzykę symfoniczną, a przy okazji szpanowaliśmy przed osobami towarzyszącymi. Wojtek lubił Wagnera, ja Haydna, ale to nam nie przeszkadzało. W zaciszu domowym obok warsztatu doskonalenia sprzętu turystycznego dłubaliśmy przy peerelowskich gramofonach, usiłując zrobić z nich co najmniej enerdowskie ziphony. A później założyliśmy rodziny, urodziły się dzieci. A jeszcze później u Wojtka pojawiły się kłopoty ze zdrowiem. Spadło to na Niego w czasie podróży samochodowej z Wrocławia do Krakowa jak grom z jasnego nieba. Przez kilkanaście lat zmagał się z chorobą, ani na chwilę nie ograniczając swoich rozległych aktywności. Wykładał, projektował, jeździł na konferencje, pisał, redagował. Niezależnie od uciążliwej terapii intensywna praca trzymała Go przy życiu. Podobnie jak zaraźliwy optymizm, który towarzyszył Mu zarówno w sprawach drobnych i codziennych, jak i przedsięwzięciach zakrojonych na dłuższą metę. Do takich należała szczególna uwaga, jaką poświęcał młodym ludziom, których najpierw przygotowywał do egzaminu rysunkowego, a później często wspomagał w pierwszych krokach zawodowych i naukowych. Ta nieformalna i niepodlegająca żadnym sprawozdaniom dydaktyka pozostawiła trwałe ślady w życiorysach wielu młodych architektów i w naszej pamięci.



Il. 4a. i b. Wojtek w trakcie obron projektów kursowych na kierunku architektura krajobrazu na Wydziale Architektury Politechniki Krakowskiej, fot.: J. Zych (il. 4a), M. Król (il. 4b)